

Model teatru i model festiwalu

W Kaliskie Spotkania Teatralne nie miały tego uroczystego, odświętnego charakteru co poprzednie, ani nastroju wielkich artystycznych niespodzianek towarzyszących Spotkaniom w 1964 roku i w latach ubiegłych. Tegoroczny Festiwal chociaż kosztował wiele wysiłku, pracy i zapалу był właściwie dość bledy, artystycznie niepełny. Nie wiele miał on cech poważnej artystycznej konfrontacji najlepszych, więcej pewnej gry o splendor i przegląd różnych, dość dowolnie dobranych spektakli, ciekawych, słabszych i tych zupełnie już niefestiwalowych. Tak pojęty festiwal rozumiany jako przegląd różnych spektakli, na odrębnych zasadach zaproszonych do Kalisza i to z teatrów rozmaitych, o nieporównywalnych wręcz możliwościach inscenizacyjnych i aktorskich jest właściwie bardzo trudny do oceny. Jury znalazło się tu w nie lada kłopotcie, recenzenci i krytycy w podobnym. Jurorzy wybrnęli ze swoich zadań dość dyskusyjnie, krytycy głosu jeszcze nie zabrali, ale z tonu kuluarowych rozmów można spodziewać się, że nie będą one zbyt optymistyczne.

Jakie sprawy stanęły na przeszkodzie sukcesowi artystycznemu tegorocznych Spotkań? Chyba przede wszystkim nierówność startu teatrów z mniejszych miast wojewódzkich i powiatowych razem z tymi największymi i najbogatszymi w dobra materialne i aktorów, niesprecyzowany bliżej program festiwalu, w którego repertuarze przeważały nad pozycjami rysującymi jakąś odrębną własną profil artystyczny teatrów pozycje znane krytyce, jeśli już nie szerokiej publiczności, powszechnie grane. Do tego wszystkiego dołączało się również pewne zobojętnienie ludzi teatru (ale, nie publiczności) kaliskiej, która festiwal akceptowała bez reszty na festiwalu i pewna stagnacja, w jaką wpadła

już impreza kaliska, gdy zabrakło jej świeżości i nowych inicjatyw. Czyżby więc, bo do takiego już wręcz wniosku może dojść w tym miejscu czytelnik, festiwal kaliski już się przeżył i stał się w ogóle niepotrzebny? Oczywiście nie. Jest on nadal dla teatrów i widzów atrakcyjny, wychowawczo i artystycznie potrzebny. Ale wymaga pewnych zmian. Dojrzał do zasadniczych reform i do szerokiej dyskusji nad nowym modelem Spotkań, jeśli nie mają one stać się w przyszłości imprezą zaproszonych, ale rejestrującą obiektywnie stanu faktycznego możliwości artystycznych i ideowych polskich teatrów.

Praktyka wskazuje, że najlepiej sprawdzają się u nas festiwale bardziej ukonkretnione, o ściśle sprecyzowanej funkcji i programie takie jak np. katowicki festiwal sztuk rosyjskich i radzieckich lub wrocławski polskiej dramaturgii współczesnej niż te ogólne, oparte o zasadę stałego udziału zaproszonych dla konfrontacji zespołów. Przeciwnie tej zasadzie przemawia na pewno też fakt, znajdujący swe pokrycie w tegorocznych Spotkaniach, że stale uczestniczące w festiwalu zespoły nie mają corocznie interesujących rzeczy do pokazania i że przyjął ich pomimo to musi odbić się na jakości artystycznej całej imprezy. Przeciwnie tej zasadzie przemawia też na pewno konieczność wprowadzenia do festiwalu zasad czystej gry, oceny spektakli w oparciu o ich zgodność z programem festiwalu, o wspólne dla wszystkich i w równym stopniu egzekwowane założenia.

Napisałem, że werdykt jury VI Kaliskich Spotkań Teatralnych był dyskusyjny. Wydaje mi się, że to też sprawa braku jakichś zasadniczych założeń festiwalu i ściśle określonych kryteriów oceniania jego spektakli, braku klucza do ich artystycznej weryfikacji. Odnoszę wrażenie, że

poszczególne nagrody festiwalu przyznawane były za bardzo różne sprawy. Jedne za ambicje artystyczne i ideowe, inne za dojrzałość teatralną, jeszcze inne za tzw. poszukiwania repertuarowe lub koncepcyjne, jeszcze inne wreszcie po prostu za odwagę. Powstał więc pewien chaos, brak jasności sytuacji, moment pewnego zaskoczenia dla teatrów w tym wszystkich nie zorientowanych. W przekroju całego festiwalu wydaje mi się, że pozycja jaką zdobyły sobie w oczach jurorów zespoły gospodarzy Spotkań: Kalisza i Poznania nie odpowiada jeszcze w pełni ich pozycji w polskim teatrze. Mam tu na myśli przede wszystkim teatr kaliski.

Pewne kontrowersje budziło w Kaliszu przemilczenie niektórych ciekawych spektakli obcych: przede wszystkim lubelskiej inscenizacji Wojciecha Krakowskiego sztuki Suchowo — Kobylina „Śmierć Tarellina”, która w moim osobistym przekonaniu była jednym z najciekawszych przedstawień Spotkań oraz roboty reżyserskiej Józefa Grudy nad „Weselem” Wyspiańskiego i Jerzego Rakowieckiego nad „Sarmatyzmem” Zabłockiego w Teatrze Ludowym w Warszawie przy równoczesnym na przykład nagrodzeniu konwencjonalnych spektakli kaliskich i scenografii poznańskiej. Dyskusję wzbudziło też pominięcie aktorstwa Fryderyka „Marcholcie”, zwłaszcza w kontekście nagrodzenia wielu innych ról w drugim poznańskim przedstawieniu.

Oczywiście, sam werdykt jury nie może tu być sprawą najważniejszą. Grubo ważniejszą sprawą jest sam model festiwalu, konieczność sprecyzowania na nowo jego zadań, założeń i funkcji. Powracam do tej sprawy raz jeszcze, bo ona to nurtowała wielu twórców, krytyków i dziennikarzy przez cały czas Spotkań. Jakimi chcielibyśmy więc widzieć przyszłoroczne VII Kaliskie Spotkania Teatralne? W którą stronę powinien ewoluować program i model festiwalu. Wydaje mi się, że w stronę imprezy o odrębnym, wąskim programie np. festiwalu sztuk z klasyki polskiej lub obcej, inscenizacji szekspirowskich, lub innych tego samego autora, lub tego samego przynajmniej kręgu literackiego, sztuk o tematyce ideowej, politycznej lub jakiejś innej, ale takiej, która by stwarzała zasadę równości gry, jednolitych kryteriów wartościowania oraz szanse dostrzeżenia problemów nadających się do teoretycznych uogólnień.

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

4Nr. 238

22. V. 1966

Rok VI

Przemysław Bystrzycki

BAL

Fragment powieści

Szezon zimowych hulanki inagurował „Bratniak” lub medyczna. W kwestii kolejności istniał szyfr, dostępny wtajemniczonym, przede mną zakryty.

Bratniacki bal skupiał wszystkie wydziały, miał więc charakter powszechny. Z ukrytymi intencjami do elitarności wszak. Po okrajach auli krecili się przyszli elewi, bliżej środka tanecznym uciechom poddawali fuchsi-pierwszorzeczniacy, roczniki wyższe oraz dyspozytorzy organizacji czas spędzali we własnym gronie pod głównym żyrandolem, albo w pokojach zakładów naukowych wokół stołów biesiadnych. U medyków holdowano demokratyzmowi i nonszalanckiej, nabytej w prosektorciach. Zabawa prawników i ekonomistów, w kolorze fakultetu: zielono-złoty, opływała w dostojność, powagę, umiar. W założeniu.

Pomiędzy tancerzy z wyższych lat wchodziłem z pewną emocją. Stanu rzeczy nie ratowała Elżbietka. Wolałbym trafić tu, co prawda, w męskim wyłącznie gronie; dawała jednak dziewczyna pewne życiowe oparcie: pocierowaną białą przesiadła ostatnią pocztą; wiązała w ten sposób wąłacz nic. Uległem.

Zdumiewające zjawisko wyrosło przy wejściu do westibulu Kolegium Mniejszego. Z wykładow zachowaniem pod powieką ogień: rudą czuprynę. Zjawisko miało białą skórę, ruchliwe, cienkie palce. Takich brakowało mi dotkliwie. Koloru oczu jak dotychczas nie potrafiłem określić. Na dobrą wiarę jedyna, obok Elżbietki i Lonka, znajoma w tym rozgardiaszu. Powiedzieliśmy jej o tym, kiedy podeszła do kotylionu.

— Nie sam, kolego? — zresztą opanowało szpilka. — Mówić prawdę, bo ukłuję.

Włosami zahaczyła o koniec mego nosa. Były ciepłe. Przypinając znaczek Elżbietce, spojrzała w moją stronę spod wygolonej pachy. Musiałem opuścić powiekę.

Nadszedł czas ważkich rozstrzygnięć. Elżbietkę po pierwszym tańcu oddałem Lonkowi w pacht z dobrodziejstwem inwentarza. Zeszedłem z sali do westibulu.

— Zatańczymy?

Ustał tu ścisł, porządkowi odpoczywali. Zza szklanej budowy głów nęgo wejścia wyglądali „krakowiaczy”. Nieproszone goście weselnych tak nazywano w moich stronach. Dotknęła niechcąco prawej ręki. Palce miała suche.

— Za pół godziny. Zdam to wpięć — wskazała pudełko z biłkami w barwach wydziału. — Muszę też rozliczyć kasę.

W „drewniakach” mojego była wzrostu, bosy pewnie niższa. Nie uznawała perfum. Włosy grały naprawdę. Jaśniało, ciemniało, orkiestra kończyła i zaczynała. Milczały organy nad utrudzonymi grąkami; przypominały, iż wielką aulę uniwersytetu powołano także i do dostojniejszych przeznaczeń. W skroniach czułem puls, policzki paliły.

— Skąd u pani tyle powabu?...

— Temperaturka.

— Ciała?... — ugryzłem się w język za późno.

Wysunęła usta „w dziób”, przytuliła się.

Poddana ku przodowi w pasie, uprzedzała moje ruchy. Kurs tańca przechodzić musiała u mistrza. Jakby wyposażona w oko z tyłu głowy, wynajdywała, napierana przeze mnie, szczytyny wśród pląsających żywiołów, wskazywała bezpieczne ścieżki.

Po rozchylanym widnokręgu przepląwał Lonek z Elżbietką; pokraśniały, ze stojącym włosiem. Pocziwy polski blondyn szykujący się do natarcia.

Partnerka moja wyczuła sąsiedztwo nie na rękę, lekko naparła. Odchodziliśmy.

— Znamy się z wykładow... Przyjęła to jako pytanie, kiwnęła głową.

— Co pani tu robi?... — początek znajomości zawsze podsuwał mi głupie pytania.

— Tańczymy. Niemało chyba.

— Wiem, że sprawiam kłopot, ale myślę o kotylionach — starałem się

Dokończenie na str. 2

„Ziemie zachodnie w granicach Macierzy” — pod takim tytułem ukazała się w tych dniach cenna publikacja Wydawnictwa Poznańskiego obrazująca kompleksowo problematykę ziem zachodnich w Tysiącleciu. Wydana w bogatej szacie graficznej (zasługa Zakładów Graficznych im. M. Kasprzaka) książka składa się z następujących obszernych rozdziałów: Etyapy integracji, Warunki powrotu, Odbudowa i zagospodarowanie, Spożerzenie w przyszłości. Wśród autorów jest wielu znanych naukowców jak A. Klafkowski, K. Secomski, W. Markiewicz, G. Labuda, S. Darski, J. Ziolkowski, S. Zajchowska, M. Szczaniecki, W. Misiuna, W. Kawalec i inni. Z dzieła tego drukujemy dzisiaj fragmenty artykułu doc. dr. Władysława Markiewicza „Przeobrażenia społeczne ziem zachodnich”.

W miarę jak kończy się już proces integracji ziem zachodnich z resztą kraju, tj. proces scalania się w jednolity w zasadzie harmonijnie funkcjonujący organizm państwowy różnych dziedzin życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego terenów odzyskanych z ziemiami dawnymi — coraz trudniej przychodzi orzekać o charakterze i zakresie społecznych przemian, dokonanych na obszarze nad Odrą, Nysą i Bałtykiem w wyniku przyłączenia go do Macierzy. Dwudziestolecie polskiego panowania na ziemiach zachodnich spowodowało bowiem zmiany w postawach, w świadomości i wzorach społecznych całego narodu — zarówno tej części ludności, która osiedliła się na terenach odzyskanych, jak i tej, która zamieszkuje w pozostałych dzielnicach kraju (...)

Ziemie zachodnie stały się dla narodu polskiego niemal takim samym symbolem jego jednolitości jak stolica kraju, hymn narodowy i inne szczególnie wysoko cenione pamiątki narodowe.

Stosunek do granicy na Odrze i Nysie stanowił dla „statystycznego” Polaka kryterium, według którego przywykł on odróżniać przynależność do wrogów. Uznawanie tej granicy przez Niemiecką Republikę Demokratyczną przyczyniło się do przewyższenia w świadomości narodowej stereotypu Niemca — odwiecznego wroga Polski i zapoczątkowało nowy okres w historii stosunków między obydwojma narodami. Granica zachodnia Polski spełnia niezwykle ważną rolę idei jednoczącej Polaków w kraju z rodakami na obczyźnie: ilekroć powstaje potrzeba obrony praw Polski dla ziem zachodnich, znaczny odłam Polonii zagranicznej uznaje za drugorzędne wszelkie animozje i uprzedzenia do socjalizmu, wynikające czy to z nieznajomości stosunków panujących w Polsce, czy też z powodów światopoglądowych.

Odbudowa i zagospodarowanie ziem odzyskanych stanowiły bez wątpienia jedno z największych i najbardziej skomplikowanych zadań, jakie w ciągu swojej tysiącletniej historii wykonał naród polski. Toteż w toku realizacji tego gigantycznego zaiste przedsięwzięcia, którego podjął się naród najdłużej i najboleśniej spośród wszystkich narodów Europy doświadczony przez wojnę, ujawniły się wszystkie tradycyjne cnoty Polaków — ich patriotyzm, pracowitość, zdolność improwizacji. Wysiłek włożony przez cały naród w odbudowę i zagospodarowanie ziem zachodnich stał się źródłem inspiracji intelektualnej dla tysięcy uczonych, zarówno dla tych, którzy tu zbudowali z wielkim mozołem swoje warsztaty badawcze jak i dla tych, którzy podjęli prace nad historią i teraźniejszością

szością przyrodniczą i społeczną tych ziem. Dostarczyły one wreszcie podniety artystycznej licznej pisarce i twórcom w dziedzinie sztuki.

Społeczne przemiany na ziemiach zachodnich w ciągu dwudziestu lat polskiego panowania wycisnęły trwałe ślady na obliczu moralno-politycznym całego narodu, jednakże szczególnie głęboko przeobraziły one strukturę psychiczną mieszkańców tych ziem, stanowiących bezpośredni przedmiot i zarazem podmiot zachodzących tu procesów społecznych (...)

Masywny charakter migracji na ziemie zachodnie i wyjątkowo trudne warunki w jakich przebiegać musiała akcja osadnicza, z góry nie jako wyklucały możliwość drobniagowej reglamentacji poczynają organizacyjnych licznych urzędów, instytucji i stowarzyszeń społecznych zajmujących się zasiedlaniem tych ziem. Toteż mimo wysiłków ze strony państwa, aby nadać procesowi

Władysław Markiewicz

Przeobrażenia społeczne na ziemiach zachodnich

osadnictwa planowy charakter oraz prób oparcia go na przesłankach naukowych, nie dało się żadną miarą przewidzieć wszystkich okoliczności towarzyszących przemierzaniu wielomilionowych mas ludzkich i tym samym uniknąć objawów żywiołowości w przebiegu akcji przesiedleńczej (...)

Różnorodność motywów skłaniających ludzi do podjęcia decyzji osiedlenia się na ziemiach zachodnich, motywów, rzecz jasna nie zawsze racjonalnych i dopasowanych do rzeczywistości jaką przybył szom ofiarować mogły często ogólnoczone z wszelkich dóbr i ludzi tereny „dzikiego zachodu”, z góry wyklucały możliwość przytwierdzenia osadników do odgórnie wyznaczonego im miejsca pobytu.

Toteż społeczeństwo ziem zachodnich stanowiło początkowo prawdziwą mozaikę ludnościową. W wyniku akcji osiedleńczej nastąpiło wymieszanie rozmaitych grup różniących się między sobą pochodzeniem regionalnym, tradycjami, wyznawanymi ideałami społecznymi, obyczajowością, wykształceniem itp. Prowadzone na ziemiach zachodnich badania socjologiczne i etnograficzne wykazały, iż nierzadko nawet w małych miejscowościach — wsiach i miasteczkach, nie mówiąc już o dużych miastach, osiedlili się ludzie, składający się z dziesięciu i więcej różnych grup regionalnych.

Współżycie wzajemne tych grup nie układało się początkowo zbyt harmonijnie, nawet jeśli zaczęły łączyć — jak to miało miejsce zwłaszcza w okresie pionierskim — poczucie wspólnoty losu i świadomość spełniania ważnej misji patriotycznej. Zderzenie się różnych kultur i wzorów społecznych, jak zawsze w takich przypadkach, wywołało najrozmaitsze konflikty, nierzadko przybierające postać ostrych antagonizmów.

Szczególnie skomplikowany i dramatyczny przebieg miał proces przystosowania się do nowych okoliczności, stworzonych przez akcję osadniczą, polskiej ludności rodzimej, tzw. autochtonów (...)

Zetknięcie się ludności rodzimej z przechoywującej wizerunek Polski i Polaków wyidealizowany i w gruncie rzeczy anachroniczny, z polską ludnością napływową, zbyt nio zaaferowaną własnymi tragicznymi przeżyciami z okresu wojny i tułaczki, aby wczuwać się w cudze rozterki, przysporzyło początkowo tej pierwszej sporo przykrych rozczarowań (...)

Dopiero pod wpływem dłuższego współżycia zaczęły stopniowo zanikać obustronne uprzedzenia i nieufność. Na przyspieszenie procesu zacierania się przegród społecznych i przewyższenia pejoratywnych stereotypów, utrudniających rozbudzenie wśród ludności rodzimej poczucia równouprawnienia z innymi gru-

pami ludności polskiej szczególnie zbawiennie wpłynęła szkoła, a także wspólna praca, rozwój instytucji kulturalnych, przede wszystkim zaś demokratyzacja życia społeczno-politycznego w kraju, zapoczątkowana w październiku 1956 r. (...)

Po ukończeniu wojny władza ludowa zwróciła się do rodaków rozproszonych po całym świecie, aby co rychlej wracali do zniszczonego kraju i pomogli w jego odbudowie. Z różnych przyczyn nie posłuchała tego apelu część uchodźców wojennych, natomiast kilkadziesiąt tysięcy emigrantów, którzy w okresie międzywojennym, a nawet jeszcze przed I wojną światową opuścili kraj w poszukiwaniu pracy i chleba, zdecydowało się powrócić do ojczyzny. Osiedlili się głównie na ziemiach odzyskanych i wątpić należy, czy Polska kiedykolwiek odzyskałaby tych ludzi, gdyby nie dysponowała możliwościami osadniczymi na zachodzie. Najliczniejszą grupę reemigrantów stanowili rodacy z Francji i Niemiec, głównie z Westfalii, oprócz nich powrócili także Polacy z Jugosławii, Czechosłowacji, Węgier i innych krajów.

Reemigranci napotkali początkowo znaczne trudności w przystosowaniu się do warunków bytowania na ziemiach zachodnich. Również ta kategoria mieszkańców ziem zachodnich przyswoiła sobie bowiem w czasie długoletniego pobytu na obczyźnie

swoiste, odbiegające od zwyczajowo aprobowanych przez ogół Polaków zasady patriotyzmu, normy współżycia i kryteria wartościowania w dziedzinie politycznej, moralno-obyczajowej, zawodowej itd. (...)

Najliczniejszą kategorię osadników stanowili przesiedleńcy z terenów Polski centralnej oraz repatrianci z Bugu. Jakkolwiek wspólne pochodzenie etniczne mogłoby w przypadku tych kategorii osadników sugerować, iż chodzi o ludność pod względem kulturowym jednolitą, to jednak w rzeczywistości były to zbiorowości wewnętrznie silnie zróżnicowane i nie przygotowane do natychmiastowego podjęcia solidarnego kolektywnego działania. W pewnym okresie w obrębie tych grup doszły do głosu nawet uprzedzenia dzielnicowe, będące smutną spuścizną czasów rozbiorowych.

Osadnicy z Poznańskiego, w szczególności mieszkańcy pogranicza, czuli się bardziej kulturowo i emocjonalnie związani z autochtonami aniżeli z pozostałymi grupami regionalnymi i w przypadkach bynajmniej nie odosobnionych początkowo sporów czy niesnasek sąsiedzkich z reguły tworzyli wspólny front z ludnością rodzimą przeciwko niżej wartościowym przybyszom z innych dzielnic. (...)

Oprócz wymienionych powyżej najliczniejszych i bynajmniej niejednorodnych kategorii osadników osiedlili się na ziemiach zachodnich liczne grupy ludzi o specyficznych cechach psycho- społecznych, obciążone z racji czy to pochodzenia czy też tradycji lub wyjątkowych losów historycznych szczególnymi kompleksami.

Taką specyficzną grupę stanowili na przykład osadnicy wojskowi, odróżniający się od pozostałych mieszkańców chociażby poczuciem spełniania awangardowej misji i pielęgnujący w związku z tym swoisty sposób bycia, ubierania się itd. Na ziemiach zachodnich uformowały się skupiska ludności greckiej, żydowskiej i łemwowskiej wraz z reemigrantami przybyli ludźle narodowości francuskiej, jugosłowiańskiej, belgijskiej, rosyjskiej i innej, w niektórych miejscowościach rolę organizatorów życia polskiego wzięli na siebie Polacy zesłani tu na roboty przymusowe lub osadzeni w obozach pragnący nierzadko uchodzić w opinii publicznej za faktycznych zdobywców tej ziemi. (...)

W wyniku obfitującego w liczne dramatyczne, a nierzadko tragiczne momenty długoletniego współżycia grup różniących się początkowo pochodzeniem regionalnym, wyznawanymi wzorami społecznymi i obyczajowymi, poglądami politycznymi i zasadami moralnymi — społeczeństwo ziem zachodnich osiągnęło wysoki stopień wewnętrznej spójności.

Stanowi ono pod wieloma względami najbardziej nowoczesną część narodu, najbardziej dynamiczną i prężną. Wyszło ono już w zasadzie z fazy kształtowania się małych form życia zbiorowego, takich jak grupa sąsiedzka i terytorialna, i w coraz większym stopniu łączy się ze społecznością ogólnonarodową, wnosząc do niej specyficzne wartości, wytworzone w okresie trudnej i skomplikowanej pracy nad odbudową i zagospodarowaniem tych ziem.

„Zobaczcie za kilkanaście lat“

Korespondencja własna „Głosu“ z Węgier

Polożony około 80 km na południowy wschód od Budapesztu Kecskemet, jest stolicą jednego z 19 węgierskich komitatów i to największego. Miasto liczy około 75000 mieszkańców, a zatem prawie 12,5 procent liczby mieszkańców całego województwa. Centrum owej siedziby władz wojewódzkich można obejść w ciągu kwadransa. Poza nim przeważa tu niska zabudowa. Rzadkością jest budynek wyższy niż jedna lub dwie kondygnacje.

Kecskemet jest stolicą komitatu Bacs — Kiskun, wybitnie rolniczego, ba samo jest miastem rolniczym. Działa tu i pracuje kilkanaście spółdzielni produkcyjnych różnych typów. A przemysł — raczej dopiero w załazkach. Przed wojną istniała w Kecskemet załazka fabryka konserw, był zakład jajczarsko-drobiarski, a jedynym eksporterem swoich wyrobów — fabryczka umywalk. W sumie zatrudniały te placówki 3000 pracowników.

Dopiero powojenne 20-lecie przyniosło zarówno rozwój wspomnianych zakładów, jak i powstanie nowych fabryk: narzędzi, mebli, parkietu i podzespołów radiowych. Liczba zatrudnionych w przemyśle wzrosła do 19000 osób.

Sekretarza Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, dr. Mihaly Mezö nie trzeba było zachęcać do udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące rozwoju miasta.

— Przed wojną nie było tu ani kanalizacji, ani wodociągów — rozpoczął serię wyjaśnień mój rozmówca. — Likwidacja tych braków stała się niejako podstawowym zadaniem władzy ludowej. Była ona tym bardziej konieczna, że zaczęto mówić o rozbudowie przemysłu, napływał do miasta nowy element, a i starzy mieszkańcy mieli dość dawnych zaniedbań. W ciągu kilku lat wybudowaliśmy 95 km sieci wodociągowej i założyliśmy wodociąg. Pobudowaliśmy też 8 km sieci kanalizacyjnej. W rezultacie mamy teraz wody pod dostatkiem, a miasto całe jest czyste. Do 1970 roku zakończymy budowę sieci kanalizacyjnej, co będzie nas kosztowało około 80 mln. forintów.

Nie miał też Kecskemet umocnionych ulic, których dzisiaj tak wiele widać nawet na peryferiach miasta. Rozmowna lub zeschnięta — w zależności od pory roku — jezdnia, zaczynała się tuż za bramą domu. Chodniki należały tu do rzadkości.

Zaczęto więc planować nowe ulice, asfaltowe lub brukowane, z wygodnymi chodnikami. Co roku oddawano do użytku 4—5 unowocześnionych arterii, z których dzisiaj kilka wygląda nie gorzej niż bulwary czy aleje w wielkich miastach. Trudno jednak było zachować na dłuższą metę powolne tempo modernizacji miasta, czerpiąc wyłącznie fundusze z kasy miejskiej. Stworzono przeto w 1962 roku długofalowy plan budowy ulic, wciągając w całość przedsięwzięcie mieszkańców. Projekt ten opublikowano — łącznie z planem miasta — na łamach miejscowego dziennika „Petőfi Nepe“, zaznaczając na mapie czarnymi krechami ulice, które mają ulec przebudowie. Apel do mieszkańców okazał się słuszny i celowy. Tylko w latach 1962—65 pobudowano i całkowicie zmodernizowano 165 ulic, zwłaszcza w obrębie centrum miasta. Mieszkańcy Kec-

kemét ofiarowali w tym okresie pracę wartości wielu milionów forintów. Ich praca społeczna w znacznym stopniu wspomogła wysiłki władz miejskich.

Ulice, to nie wszystko. W miarę upływu lat i wzrostu przemysłu — w Kecskemet zaczynało być ciasno. Wyłonił się problem mieszkaniowy. Nie rozwiązano go jeszcze całkowicie, ale warto podkreślić, że w minionych 20 latach, powstało w tym mieście 4.800 nowych mieszkań, w połowie wybudowanych z funduszy państwowych (przez 25 lat przed wojną przy było zaledwie 81 mieszkań). Dziś Kecskemet wykazuje w statystyce istnienie w mieście ponad 2.600 mieszkań, o pełnym komfortie, podczas gdy przed 20 laty, zaledwie 0,5 procent ogólnej liczby domów miało łazienki.

Zakłada się, że w Kecskemet powstanie do 1970 roku — zgodnie z perspektywnym planem rozwoju — dalszych 3000 mieszkań. Pobuduje się je w ramach istniejącego już nowego przedmiścia Lenina na południowym krańcu, jak i w nowo planowanej dzielnicy Széchenyi — w północnych rejonach Kecskemet.

Szczyci się już dzisiaj Kecskemet nowoczesnym hotelem „Aranyhomok“ (Złoty piasek), ale niezbývá ogólnym wyglądem centrum. Zaprasza-
no mnie jednak na ponowny przyjazd do tego miasta za kilka lub kilkanaście lat.

— Obok hotelu — kontynuował sekretarz — budujemy już nowoczesny blok, który pomieści m. in. 90 komfortowych mieszkań. Stawiamy go na miejscu rozebranej rudery, grożącej już zawaleniem i specając nam centrum. W innej części centralnego placu (właściwie są to dwa place — Kossutha i Szabadsag) stanie niebawem gmach spółdzielczego domu towarowego, którego część zajmą także mieszkania. Zamierzamy też w innym punkcie postawić nowe gmachy dla władz partyjnych, wojewódzkich i miejskich, a także wybudować dom kultury. Tak zatem i tu znikną specające parterówki.

Dzisiaj Kecskemet jest siódmym miastem republiki. Ma jednak ambicję do zdobycia lepszego miejsca. Może nie wypierzeć stolic innych komitatów pod względem liczby mieszkańców, ale na pewno szybkimi krokami zbliża się do podniesienia swej rangi w zakresie nowoczesności. Owe ambicje nie są bezzasadne. Miasto leży na ważnym szlaku komunikacyjnym, ciągnącym się od Calais (Francja) do Konstancynopola (Turcja), przewija się tutaj rocznie tysiące turystów z różnych stron Europy, jest ośrodkiem wielkiego rolnictwa, dającego Węgrom wiele produktów, nie tylko na użytek wewnętrzny, ale także na eksport. Randze takiego ośrodka przysługują szata znamionująca szybki postęp we wszystkich dziedzinach.

Wypada na koniec dodać jeszcze jedno spostrzeżenie. Niewątpliwie Kecskemet stanowi typowy przykład licznych przemian w większości węgierskich miast, przemian likwidujących w szybkim tempie dawne, przedwojenne zaniedbania. Miałem to możność obserwować wszędzie tam, które przebiegała trasa mojej węgierskiej podróży.

Potrzebna była publikacja tej pracy, pierwszej próby zarysowania obrazu społecznego życia Wielkopolski we wrześniu 1939. Należy żywić wdzięczność dla Edwarda Serwańskiego, który tropiąc ślady lat wojny i okupacji, nową swą pracą „Wrzesień 1939 w Wielkopolsce“ ukazał to wydarzenie wrześniowych, stwierdzających, jak mówi w przedmowie Marian Olszewski, iż „rzeczywisty wkład Poznańskiego w dzieło obrony kraju staje się godny najchlubniejszych kart tragicznego września. Serwański w oparciu o naukową do kumentację, wszelkie dostępne źródła i dokumenty ze skrupulatnością badacza, ale zarazem z pasją i zaangażowaniem osobistym, daje bardzo szeroki, panoramiczny obraz zarówno dni poprzedzających wojnę, akcentując poszczególne elementy ówczesnego układu społecznego i politycznego, jak i relacjonuje czas bezpośrednio wojenny wszędzie towarzysząc Wielkopolanom i poznaniakom, po bitwie nad Bzurą i udział w obronie Warszawy, dokąd rozbież oddziały docierały przez Puszczę Kampinoską. A zarazem zaczynała się martyrologia ludności cywilnej, krzepła jej samoobrona, utrzymywały się formy przetrwania. Spod pióra Norberta Kołomejczyka wyszła cenna pozycja „Ziemie zachodnie w działalności PPR“, znów po raz pierwszy usiłująca w całościowym widzeniu ukazać rolę PPR zarówno w przygotowaniu koncepcji przejęcia ziem zachodnich, jak z kolei zasiedlenia ich i zagospodarowania. Praca, jak z tytułu wynika, obejmuje okres lat 1945—48, a więc lat decydujących dla naszego stanu posiadania na ZZ lat najtrudniejszych, kiedy każdy

dzień przysparzał nowych problemów domagających się natychmiastowego rozwiązania, kiedy brakło ludzi, środków, zorientowania w problemach. W tym czasie niezależnie od lokalnie istniejących komórek organizacyjnych, PPR kierowała ze wszystkich województw swoich działaczy na Ziemie Zachodnie. Próbę ukazania ich wkładu przez realizację odgórnych zarządzeń władz partyjnych podjął z powołaniem Kołomejczyk.

Słowa uznania należą się Władysławowi Markiewiczowi, spod którego pióra, jako owoc kilkuletnich prac badawczych, wycho-

Eugeniusz Pauksza

Oficyna na Fredry

dzi pozycja więcej chyba niżeli potrzebna u nas, gdzie w odniesieniu do tak niewzruszalnych spraw, jak analiza społeczna sytuacji w NRF zbyt często operujemy sloganami i uproszczeniami. „Społeczeństwo i socjologia w Niemieckiej Republice Federalnej“, o której to książce „Głos“ już informował, to pierw-
sze tak poważnie potraktowane, usparte o głębokie przemyslenie, niejako naukowe compendium wiedzy o szczególnym widzeniu zadań socjologii w NRF jak i o samym społeczeństwie zachodnio-niemieckim, coraz bardziej niepokojącym swoją postawą.

W dziedzinie beletrystyki ukazało się w Wydawnictwie Poznańskim kilka celnich pozycji.

Irena Dowgielewicz — nowym swym tomem pt. „Krajobraz z topolą“ raz jeszcze potwierdza, iż Ziemia Lubuska posiada w niej jedyne chyba prozaike dużej klasy (Janusza Kontusza bowiem, nawet w jego pracach prozatorskich należy uszakże traktować jako poetę). Powieść, o której mowa, ukazuje powiklane tło obyczajowe i społeczne środowiska, żyjącego poza kręgiem tych wielkich spraw świata, ale reagującym niemniej intensywnie na wszystko, co przynosi cierpienie lub radość. Dowgielewiczowa patrzy na świat z pozycji tzw. małego realizmu, z wnikliwością obserwacji, z umiejscowieniem tworzenia panoramicznych obrazów i wzruszającego ukazywania ludzkich przeżyć.

„Ballada sierpniowa“ to debiut Jerzego Mańkowskiego, który nawraca do klimatu wojny i odbicia jej w ludzkiej psychice. Mańkowskiemu zależy na ukazaniu tych sił, jakie wojna wywołuje w ludziach, jak ich sobie podporządkowuje bezwzględnie, ustalając nie tylko swoje prawa, ale i osobliwy swój ład, jakąś szczególną nawet stabilizację. Na tak widzianym tle zarysowanych jest kilka niebanalnych sylwetek ludzkich, którym los każe przeżywać w skondensowanej formie osobiste dramaty. Debiut Mańkowskiego jest udany, autor nie tylko ma wiele do powiedzenia, ale znajduje własną formę i styl, dalekie od tuzinkowej sztampy. Miło jest przywitać nowe nazwisko na gruncie literatury w Poznaniu.

Z książką na ty

BAL

Dokończenie ze str. 1

skupić. — Mąż pewnie w komitecie organizacyjnym...

— Mąż? Ha! ha! Zastępuję koleżankę z czwartego roku.

Nazywała się Stefka. Zeszliśmy coś przekąsić. Zesunięte pod kolumnami westibulu stoły pokrywały czyste jeszcze papier. Znacząco ścisnęła dłoń. Odwróciłem głowę.

Pański kolega — wskazała broda. Lonek miał oczy śledzia w marynacie: smutek. Opadły lok przylepił się do czoła, pracowały żuchwy. Spojrzałem obok. Był sam.

— Pani Elżbieta czuje się obrażona — powiedział na ucho, gdy udało mu się docisnąć do nas.

Odnótowałem: „Wie jak jej na imię“.

— Jest na to za dumna — odparłem swobodnie. — Jest na to za dumna, aby kryć w sercu urazę. Przystań, krasy byku — sykaniem zniżając głos. — Pozwoli pani, że przedstawię jej kolegę leśnika. Nie zna się na etykietce, on za Buga...

— Ach, tak — rzekła Stefka. — Ach, tak. Pewnie z Rzeszowa.

Lonek z niesmakiem przytrzymał jej dłoń. Wiedziałem, że spod Lublina. Z leśniczówki, dobre trzydzieści kilometrów od stolicy województwa. Jechało się tam przez Rudkę. Nie chciało mi się prostować. Patrzyłem znów w oczy Stefki. Tęczyłki miała

zielone, białka różowe. Pajacek niebieskich żyłek otaczał dolną powiekę. Ciało musiało być delikatne, pokryte złotym mészkiem. Zaczęłem je sobie systematycznie oglądać w myśli.

— Znasz tego? — trącił Lonek.

Z wysiłkiem oderwałem wzrok od pajaczka.

Jeszcze jedna kolejka — rzucił Lonek bufetowej. — I jeden kieliszek dodatkowo.

— Którego? — przetarłem dłońią twarz.

Owszem, znałem z wykładów. Okulary w cienkiej złoczonej oprawie, pulchne, pocziwe oblicze. Ciemne ubranie z szerokimi kłapami, niemożliwym. Noszono długie marynarki, wąskie rewersy.

— Księżulo!

Brakowało czegoś w tym owalu. Pijąc przytknął na płask białą dłoń pod brodę; wiedziałem: koloratki brakowało.

— Księżulo — powtórzyłem.

Odbił mi twój pania. Na wódek teraz zeszeli sam. Przepraszam, muszę gonić po porzuconą. A my pogadamy, jeszcze — zabawnie pogroził pięścią. Miał znów pogodny, słowiański oblicze, pod wpływem trunku lekko uduchowione.

Książd nazywał się Prymon, imienia nie wymienił. Był chyba najstarszy na roku. Przesiadywał w Bibliotece Uniwersyteckiej, na wykładach brał miejsce w pierwszych rzędach. Po stronie gdzie najmniej kobiet. Poproszony do kompanii, znalazł się dobrze.

— Nie można się skryć przed ko-

legami. Na ten jedyny wydziałowy „bums“ musiałem wyskoczyć. Z innych zrezygnowałem z góry. Bo też, tak z ręką na sercu, drodzy konfratry, przepraszam, mili komiltoni ciągną. Uważam, wiecie koleży, że wspólne spędzanie czasu, byle godne i bez wzajemnej natarczywości, to rzecz chwalebna. — Dopowiedziałem to sobie tak, że ująłem znów dłoń Stefki. Odwzajemniła uścisk. — Dopiero po latach poznaje się wartość podobnych niewinnych uciech.

— Kolega-ksiądz pije? — rozluźniłem rękę; w lewej miałem mniej czucia, wymieniałem więc na prawą.

— Ależ tak, naturalnie.

Zamówił kolejkę. Daszek z dioniznów powędrował na wysokość szyi. Był uosobieniem galanterii.

— Czy można prosić do walczyka.

Z naszego roku pani, pamiętam...

Miał też chyba oko z tyłu, skoro siadając na wykładach z przodu, dojrzał poza sobą płonącą dziewczęcą czuprynę. Zostałem sam. Odszedłem od stołu przykrytego powalonym już papierem. Starsze roczniki i figury komitetowe, z dużymi kotylionami, szturmowały teraz bufet.

Stefka wróciła koło północy. Mimo jej zmęczenia, po małym odświeżeniu przy stole, na powrót zagarnęła nas sala. Chciałem zobaczyć oficjalną. W inauguracji roku akademickiego udziału nie wziąłem, immatrykulacja przebiegała bez historii, teraz przychodziła okazja uczestniczenia w czymś szczególnie doniosłym: z wybićmi dwunastego rektor miał otwierać bal.

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

Przeglądamy Prasę

NIE BÓJMY SIĘ SĄDU
NAD BIUROKRACJĄ

„Zachęcam do profilaktyki. Nie bójmy się sądu nad biurokracją, tępotą i znieczulicą. Nie może dobrze działać Kodeks Postępowania Administracyjnego, jeśli nie podważa on poczucia bezpieczeństwa u biurokratów. Kto ma szacunek do rewolty bez rewolucyjnych skutków? KPA miał być rewolucją w stosunkach między obywatelami i władzą. Lenin powiedział, że będziemy walczyć przez wiele lat z tą okrutną zmorem. Nie odbieram mu racji, ale chciałbym tę walkę skrócić chociaż o jedno pokolenie. Niech Lenin nie będzie dla kogoś złośliwym alibi... Zmniejszajmy liczbę wierzycieli, a będzie mniej dłużników.“

Oto konkluzja ciekawego artykułu Władysława Machejaka pt. „Kiedy liczba dłużników rośnie?“, zamieszczonego w „Życiu Literackim“. W oparciu o aż nazbyt wyraziste przykłady działania biurokracji na szkodę obywatela, która dość często jest równoznaczna szkodzie społecznej — autor zauważa, że mechanizm próśb i zażaleń obywateli, przybierający czasem formę krytyki, nie zdał jeszcze egzaminu.

„Maszyna KPA — pisze Machejak — jeszcze raczkuje w rozruchu. Niekiedy mamy tu do czynienia ze starymi odruchami; przyrzec i nie dotrzymać obietnicy. Innym razem z biurokracją, antylogicznie nastawioną, świetnie współpracują pozostałości po detronizacji tzw. kultu jednostki.“

CHŁOPI CZY ROLNICY

„Polityka“, która przed dwoma laty drukowała szkic o klasie robotniczej, a przed rokiem — o inteligencji, przedstawia obecnie w oparciu o badania socjologów szkic Dariusza Fikusa o chłopach-rolnikach.

Niezmiennie to interesujący materiał, w którym autor stara się uchwycić portret chłopca i rodziny wiejskiej na tle zmieniającej się z roku na rok sytuacji społecznej tej grupy ludzi. Przedstawia rezultaty reformy rolnej, wpływy, jakie proces przechodzenia ludzi ze wsi do miasta, wywarł na zmiany zachodzące wewnątrz wsi, charakterystykę dochodów i rozchody ludności wiejskiej (o 30 proc. niższe w porównaniu z rodzinami robotników przemysłowych), rewolucję kulturalną na wsi, pisze o społecznych i gospodarczych skutkach pojawienia się na wsi, tzw. chłopów-robotników. Odpowiadając na pytanie, zawarte w tytule (chłopi czy rolnicy), autor stwierdza:

„W tej różnicy odcieni znaczeniowych pomiędzy dwoma pojęciami, zawarta jest istotna zmiana, dokonywana się na wsi. Pojęcie chłopca dla niektórych ma odcień pejoratywny. Pojęcie rolnika, pod którym to kryje się sylwetka człowieka posiadającego wiedzę o warsztacie swej

pracy, zdobyta nie tylko poprzez wieloletnią praktykę, ale także przez szkołę, odpowiada lepiej współczesności, określa awans. Bowiem, obok awansu, polegającego na przełamaniu barier wsi, wyszycowaniu się poza środowisko wiejskie, jesteśmy świadkami nie tylko awansu klasy chłopskiej, jako całości w życiu społeczno-gospodarczym, ale także świadkami awansu chłopca, jako producenta. Jego rola staje się coraz bardziej skomplikowana. Zawód rolnika wymaga od człowieka nie tylko wiedzy i umiejętności manualnych, ale także coraz częściej zdolności kierowniczych, w coraz większym stopniu łączy wysiłek fizyczny z umysłowym.“

STRATA NIE TYLKO DLA
WYNALAZCY

„Życie Gospodarcze“ w cotygodniowym komentarzu zajęło się sprawą wynalazczości.

Pomysłowość, ambicja, twórcza inicjatywa, tkwiąca w każdym człowieku — to najcenniejszy kapitał, jakim dysponujemy. Nie zawsze jest on należycie wykorzystywany, a czasami wręcz marnotrawiony. Każdy zrealizowany pomysł (wynalazek) opłaca się państwu 10-krotnie. Niestety, badania przeprowadzone przez organa prokuratury, wykazują nagminne nieprzestrzeganie praw i ustaw w tej dziedzinie przez administrację przemysłową, z reguły — na niekorzyść autorów projektów. Nawet upowszechnianie już zrealizowanych wniosków, nie przekracza 2 proc., a wielu wynalazców po prostu nie zgłasza swoich projektów. Nie można godzić się z taką sytuacją i dlatego „Życie“ postuluje uproszczenie

przepisów w dziedzinie wynalazczości, eliminację niepotrzebnych ogniw oraz nowelizację prawa wynalazczego. Należałoby — zdaniem tygodnika — pociągnąć do odpowiedzialności i stosować surowe sankcje wobec tych pracowników, którzy dopuszczają się łamania prawa i działania na szkodę wynalazcy, czyli interesów państwa.

RÓWNANIE Z NIEWIADOMYMI

Włodzisław Broszczak zamieszcza w „Ziemie Kaliskiej“ drugą część rozważań, w których poddaje analizie przyczyny, składające się na istnienie wśród młodzieży grupy tworzącej społeczny margines.

Autorzy wymieniają wśród nich m. in. fakt mylnego pojmowania przez wielu rodziców, dobrobytu własnych dzieci, zezwalania im na korzystanie z dobrobytu, pochodzącego w całej rozciągłości z pracy rodziców, zanik kontroli nad jego konsumpcją. Jednocześnie życie dorostych dość często obfituje w wiele przypadków o wybitnie negatywnym działaniu moralnym, poprzez uznawanie za pozytywny postaw i czynów, stojących w jawnej kolizji z przyjętymi normami moralnymi i etycznymi. Dogodny stan dla szerokiej inicjatyw młodzieży, przez nikogo nie inspirowanej, a co gorsze, niekontrolowanej, stwarza też popularna u wielu rodziców niechęć do ingerencji, obawa przed konfliktem z własnym potomstwem. Autorzy zapraszają do dyskusji na ten temat.

„Prawo i Życie“ drukuje artykuł Filipa Grabosia, „Między młotem a kowad-

łem“, w którym autor omawia problem radców prawnych w przedsiębiorstwach, niekiedy zatrudniających ich nie po to, by doradzać, lecz po to, by firmowali pociągnięcia, nie zawsze zgodne z przepisami. „Fakty i Myśli“, w artykule Kazimierza Wajdy „Patriotyzm?“, omawiają genezę oraz skutki strajków szkolnych w Wielkopolsce i na Pomorzu w pierwszych latach naszego wieku. „Gazeta Chłopska“ publikuje artykuł Zofii Zielińskiej, „Tysiąc szkół i jedna“, o szkole w Kępczynie (powiat kolski), która od 31 lat istnieje tylko w marzeniach społeczeństwa, mimo że wszystkie władze stwierdzają zgodnie, iż szkoła w tej wsi powinna powstać. Aleksander Pasiński porusza w „Polityce“ problemy architektów i architektury („Murarze i lacią“).

Wywiad z Robertem Satanowskim przynosi ostatni (9) numer lubelskiej „Kamery“. Wywiad dotyczy bardzo mało dotychczas znanych dzieł dużego zgrupowania partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła“, którego współorganizatorem oraz dowódcą, był R. Satanowski. Wywiad Jerzego Dostaniewskiego ma charakter dokumentalny i uzupełniony jest kalendarzem walk, stoczonych w lipcu 1944 r. na Lubelszczyźnie, wyjątkami z innych dokumentów oraz archiwalnymi zdjęciami. „Kultura“ drukuje fragmenty biograficznej książki o Hemingwayu — A. E. Hotchner — „Papa Hemingway“. „Życie Literackie“ przynosi natomiast fragmenty nowej komedii Friedricha Dürrenmatta — „Meteor“, która grana ma być w Warszawie i Krakowie.

LEKTOR